

Gołicyjska micha



Deszcz i deszcz, może trochę śniegu, albo więcej niż trochę, bo i tak się zdarza. Wszystko spływa do kałuż i rowów, a z nich dalej, bo ziemia nie chce przyjąć więcej wody. Pęcznieją rzeki, Raba pęcznieje, wydyma się, nabiera organicznego kształtu, może wystąpić, wylać się poza przynależne jej miejsce. Przyjmijmy, że to wszystko dzieje się po Nowym Roku, albo nie, jeszcze później, niech będzie to wtedy kiedy zima ma swój finał i przeradza się w wiosnę, o, niech to będzie przednówek, bo to ma być trochę o głodzie. Zgromadzone jadalno zaczyna się kończyć, znikać, w chacie pojawia się coraz więcej niezapełnionej przestrzeni, i ta pustka uwłaczająco nawiedza też brzuchy żyjących. Zostało jeszcze trochę kiszzonek, może trochę zepsutej kaszy, nadgniłych ziemniaków, to da się zjeść, na poły ze zwierzętami, które całą zimę dogrzewały sadybę. 'Przeżyjemy, rok temu było gorzej', tak mogli mówić, i może rzeczywiście tak było, a może było gorzej, ale słowo i modlitwa mają moc zachowywania życia, zresztą jeszcze tylko chwila i coś zacznie rosnąć – pokrzywa, szczaw. Mózg można oszukać guzikiem, popracują ślinianki i wyobraźnia, więc przez chwile lżej się myśli, kora może się nadać, orzechy można zmielić, można dużo spać, albo próbować spać, bo wtedy nie czuć braku, no i są też buty. Buty zrobione ze świńskiej skóry, cenne, oszczędzane i pielęgnowane, ubierane tylko i wyłącznie na okazję najważniejszą, czyli do kościoła, perfekcyjnie nadają się ugotowania, do przyrządzenia potrawy i wypełnienia żołądka, a więc jeszcze się żyje, jeszcze się trwa. Tak musi być, przecież to miejsce nazywa się Gołicja i Głodomeria, a nędza jest grzeszna, więc albo tak, albo na

żebry, albo do łodzi, albo wcale i pod płótem. Gospodarze się bawią, weselicho w chacie, wódka się leje, stół pełny, bo morgów sporo, lasu też kawałek, a obok, w oborze, ściana w ścianę, Kuba wolno, i pieczołowicie umiera po własnoręcznej amputacji nogi za pomocą siekiery. Taka to była służba, takie 'parkobkowanie' w znoju i o byle czym w gębie, więc pytam, czy jego ostatnimi słowami były te kafkowskie słowa, że 'jak pies'? Po co taka analogia? Nie za wiele tutaj o głodzie, o Galicję, co? Prosta sprawa – Chłopi to arcydziełna powieść, i każda okazja, żeby ją przywołać to dobra okazja, a poza tym jest jeszcze Agata, ten ksiądz, i panowie szlachta, ale to nie dziś. Beletrystycznie Reymontowi udało się zawrzeć w powieści atmosferę beznadziei istnienia, czy nierównej walki o nie, w tym najbardziej oddolnym środowisku, skąd większość, no praktycznie całość z nas pochodzi, a ci co mają z tym problem, co doszukują się w sobie inności, jakiegoś błękitu, to sobie jeszcze tego najwyraźniej nie przepracowali – tak o. Wystarczy przez kilka sekund zastanowić się nad swoim pełnym brzuchem, nad kolejnym posiłkiem, nad tym słownym konstruktem, samą jego perspektywą. Czyż nie brzmi to jak pewność? Czyż nie brzmi to jako fakt? Rutyna? Jak najnormalniejsza rzeczy na świecie? Mamy szczęście i przyjemność tak myśleć, może i mamy nawet do tego prawo. Prawo z dziś, pewnie i prawo z jutra, nasze i oczywiste, ale w czymś to ma swe korzenie, swój pusty, głodowy, napuchnięty rdzeń, a i oczywistość, bo zapis się kończy, a wraz z nim, teraz('ale, dokładnie teraz' Pratchett), kończy się czyjeś życie, bo zabrakło w nim szczęścia i prawa do jedzenia. Puste są muzealne dwójniaki i trójniaki, w misce nie ma zupy, nic nie piecze się w rynce, w dzbanie absencja mleka; o tę pustkę tutaj chodzi, o to 'nie ma', i o naszą percepcję, która potrafi kojarzyć, która umie przetworzyć brak na imaginacyjny obraz, o naszą wole i kolejny, zapewniany przez nią oddech, bo wszystko mija prawda, mija przednówek, może minąć też dobrobyt, bo to bardzo doświadczony i kapryśny byt.

Mateusz Kościelniak